ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Stycznia **N^er^ 2.** **Roku 1854.**

Edyta czyli zemsta.

(Z angielskiego).

„Czy nie duszno panu wśród tego tłumu osób?“ — zapytał Ernest Warton przyjaciela swego Bringhurst, który stał obok niego w przepełnionym salonie. — „Zdaje się, jakoby pani Russell całą chlubę swoją pokładała w liczbie osób sproszonych; ja przeciwnie wolę mniéj gości, a więcéj wygody; damy jednak inaczéj sądzą. Ale któż-to ta wspaniała dama przy boku pana Woodhull?“ zawołał nagle.

— „Czyliż podobna, żebyś pan nie znał pięknéj lady Beresford? — odpowiedział przyjaciel — „wszakże ona była w ostatnich trzech latach królową wszystkich festynów.“

— „Zapominasz, kochany Bringhurst, że przez lat cztéry byłem za granicą, zkąd niedawno powróciłem; widziałem piękności wszystkich dworów europejskich, ale żadnéj, którąby z tą porównać można.“

— „Któż jest ów szczęśliwy, co się zwie jéj małżonkiem? Któżby nie był Parysem dla takiéj Heleny?“

— Jéj mąż nie ceni tak wysoko jéj piękności i nie znajduje się bynajmniéj w tak szczęśliwém położeniu jak pan sądzisz; — odrzekł Bringhurst — „i dowiedz się pan, że zajęty jest wdziękami pewnéj kobiéty, która pod żadnym względem nie równa się jego żonie.“

— „To rzecz szczególna;“ — rzekł Warton zadumany — „proszę pana, chciéj mię przedstawić.“

— „Bardzo chętnie“ — odpowiedział Bringhurst — „proszę ze mną.“

Edyta B e r e s f o r d była dumna i ambitna, ale serce jéj było pełne szlachetnych uczuć. Idąc przed trzema laty za mąż kochała swego męża prawie do ubóstwiania, a on jéj równą prawie odwzajemniał miłością. Z początku byli bardzo szczęśliwi, ale Beresford należał niestety do rzędu owych niestałych mężczyzn, których skłonność prędko ostyga, którzy pragną ciągle nowych przedmiotów zajęcia. Kochał swoją żonę, ale nie umiał cenić wzniosłéj szlachetności jéj charakteru; jéj głęboka namiętna miłość była dlań tajemnicą, a szanował ją tylko, o ile dogadzała jego próżności i egoizmowi.

Związek taki musiał się stać dla obydwóch stron nieszczęśliwym; jakoż niebawem zaczął Beresford zaniedbywać

żonę i unikać jéj towarzystwa. Położenie Edyty było okropne gdy poznała prawdziwy charakter męża, chociaż wiedziona dobrocią i szlachetnością serca znosiła cierpliwie jego słabości; dopiéro gdy się przekonała, że serce to, co do niéj saméj powinno było należéć, składał u stóp innéj, zawrzała jéj dusza nienawiścią bez granic ku niegodziwemu.

Eugenia Milford była tą rywalką Edyty. Nie powiodło jéj się zdobyć pierwszeństwa przed Edytą i w zazdrości poprzysięgła jéj zemstę. Znając gorącą miłość Edyty ku mężowi, a niestałość Beresforda, postanowiła ugodzić serce przeciwniczki w najdotkliwszą stronę. Wierna postanowieniu używała wszelkich wybiegów, by zająć Beresforda, a on mimo że składał hołdy innéj, żądał jednak zupełnéj miłości od Edyty i chełpił się nawet, że jakiekolwiek będzie jego postępowanie ku niéj, ona jednak kochać go nie przestanie.

Z zdziwieniem i zgrozą patrzyła Edyta na to postępowanie męża, a z dotkniętém boleśnie uczuciem wzmagała się w niéj wrodzona duma do najwyższego stopnia; odtąd stał się dom ich widowiskiem nieustannych sporów i waśni.

Tak stały rzeczy z początkiem powieści naszéj; Edyta panowała nad sercami wszystkich mężczyzn wielkiego świata prócz nad sercem małżonka swego. Urażona, wzgardzona przejęła się ku niemu wzajemną wzgardą, która niebawem miała się zamienić w nieubłaganą nienawiść.

Z końcem zimy powzięli plan udania się w lecie w podróż za granicę, gdy pewne zdarzenie zniszczyło nazawsze wszelką nadzieję ich przyszłego szczęścia. Wśród jednéj z codziennych scen domowych, gdy Edyta w ostrych i uszczypliwych wyrazach wyrzucała mężowi jego niegodziwe postępowanie, wpadł Beresdorf prawie w wściekłość. „Byłoby się lepiéj stało, daleko lepiéj," — wołał w uniesieniu złości — „gdybyś była poszła za jakiego prostaka, któryby te obrażające wyrazy karcił chłostą cielesną."

— „A tyż, dzielny mój małżonku, nie miałbyś odwagi na to," — odrzekła z szaleńskiém szyderstwem.

— „Edyto, Edyto, opamiętaj się, co mówisz!"

— „Nie lękam się wcale; przecież mię dotknąć się nie odważysz."

— „Edyto, poprzestań szydzić!"

— „O szlachetna duszo!" zawołała z ironią.

— „Edyto, żono!" — wołał daléj pieniąc się — „wstrzymaj żarty, nie szydź, bo czuję, że gniewu mego nie jestem panem!"

Ale Edyta mówiła daléj z urąganiem, i — Beresford nie powściągnął ręki. Zachwiała się Edyta, niebawem jednak ocknęła i stanęła przed nim jak furya.

— „Beresford!" — zawołała wrzącym namiętnością głosem. — „Zwiesz się mężem, a bijesz kobiétę! Ostatnia-to kropla do kielicha cierpień moich! — A teraz posłuchaj! Gdym poszła za ciebie, kochałam cię rzadką u kobiét miłością — wkrótce poznałam niegodziwość ideału

mego — miłość moja przeszła w wzgardę, a teraz zamieniła się w nienawiść; ale się pomszczę, pomszczę okropnie!“

— „Edyto, przebacz — przebacz mi!“ — zawołał w téj chwili skruszony małżonek. — „Jam był szalony, jam nie wiedział, com czynił; przebacz mi, a jeźli żal najgłębszy jest w stanie naprawić przeszłość, możemy jeszcze żyć szczęśliwi.“

— „Szczęśliwi!“—odrzekła ze wzgardą. — „Mógłżeby orzeł z krukiem być szczęśliwym w tém samém gnieździe? Ja tobie przebaczyć! O nie, nigdy! Sądzisz może, że Edyta będzie całować rękę, która ją biła?“

— „Zaklinam cię na pamięć dawniejszéj miłości naszéj.“

— „Naszéj miłości! — Wszak twoja miłość należy już dawno do Eugenii Milford, a z mojéj już tylko proch i popioły; czyliż nie mówiłam ci, że cię nienawidzę!?“

Ukląkł przed nią, prosił i błagał przebaczenia, ale napróżno: Edyta nie mogła, nie chciała przebaczyć, bo serce jéj żądało zemsty.

Nazajutrz zrana wysiadła pani Beresford z powozu swego przed wielkim starym domem przy ulicy Chesnut, zadzwoniła mocno, a za otwarciem bramy weszła spiesznie do sieni, a potém do pokoju, gdzie zastała starca siedzącego w fotelu w rannym ubiorze z gazetą w ręku. Zdziwiony powstał z krzesła na widok wchodzącéj. „Edyto, kochane dziécię,“ — zawołał — „cóż cię tu tak rano sprowadza?“

— „Ważna sprawa, kochany wuju;“ — odrzekła Edyta — „a jeźli mogę być pewną, że jesteśmy sami, to ci wszystko opowiem.“

Pozamykała drzwi, a zdumiony starzec patrzył na nią w milczeniu. — „A teraz, czy mogę być pewna, że jesteśmy sami?“ — zapytała — „czy mogę być spokojną?“

— „Możesz,“ — odrzekł starzec — „ale wielk Boże cóż ci to Edyto? Czyś zmysły straciła?“

— „Jeszcze nie, ale mało do tego. Posłuchaj mię, wuju! Wiadomo ci, że tylko miłość, miłość najczulsza połączyła mię z Beresfordem. Po kilku szczęśliwych miesiącach sprzykrzył sobie nabytą igraszkę i szukał innéj — nie przestraszaj się, wuju, gdy usłyszysz, że ledwie rok minął, oddał Eugenii Milford swe niegodziwe serce. Ona była dawniéj rywalką moją, jam odniosła zwycięztwo nad nią — i oto jéj zemsta. Żaliłam się przed nim, wyrzucałam mu jego niegodziwe postępowanie, on szydził z mojéj miłości, a nawet tryumfował, iż mu się udało zadać bolesną ranę dumie mojéj. Dotychczas znosiłam to cierpliwie; ale wczoraj — ściągnął rękę na mnie — tak jest, bił mię; zemścić się muszę, zemścić okrutnie! Niegdyś go kochałam; odtąd nienawidzę! Niegdyś pałało to zdradzone serce moje najgorętszą miłością ku niemu; dziś zapełnia je nieugaszona żądza zemsty!“

Tu zamilkła nie mogąc daléj mówić i padła bez sił na sofę.

— „I cóż teraz poczniesz, biédne dziécię?“ — zapytał wuj — „czy chcesz

go opuścić i podać o rozwód? — U mnie znajdziesz zawsze najmilsze przyjęcie."

— „Tak jest, wuju, chcę się z nim rozłączyć, ale nie prawem rozwodu;" — odrzekła Edyta wstając z sofy — „odkryję ci plan mój, kochany wuju, ale pod warunkiem jeźli mi przysięgniesz, że"...

— „Słowo moje powinno ci być dostateczne — wszakże zawsze kochałem cię jak własne dziécię."

— „Wiem ja, drogi wuju, że słowo twoje święte jak biblia, ale mogłyby zajść stosunki, wśród których miałbyś sobie za obowiązek złamać dawne słowo. Otóż na taki przypadek muszę się zabezpieczyć, a jeźli nie zechcesz odpowiedzieć żądaniu memu, to nie odkryję planu i sama działać będę."

— „Uczynię według życzenia twego," rzekł p. Fleming po chwili namysłu.

— „A więc powtórz za mną tę rotę przysięgi: „Przysięgam na zbawienie duszy mojéj, na wszystko co kocham, szanuję i poważam, że nigdy spojrzeniem, słowem lub znakiem nie zdradzę tajemnicy, którą mi siostrzenica moja Edyta Beresford odkryje; tak mi dopomóż Panie Boże wszechmogący!"

— „Téj przysięgi złożyć ja nie mogę."

— „Bywaj zdrów, wuju!"

— „Zostań! — A więc pod żadnym innym warunkiem?"

— „Pod żadnym."

— „Niechże i tak będzie, przysięgnę;" i powtórzył słowa przysięgi za Edytą. — „A teraz powiédz coś postanowiła."

Edyta zwierzyła się wujowi.

— „Do takiego czynu nie mogę dać nigdy przyzwolenia," zawołał starzec, powstał z krzesła i przechadzał się po pokoju.

— „Tak być musi, kochany wuju; mam wybór tylko między życiem i zemstą, śmiercią i zapomnieniem."

— „Niechże się stanie podług woli twojéj! Ale Edyto, gdyby mi kiedy było na myśl przyszło, że ta luba anielska istota, co była szczęściem i ozdobą domu mego, stanie kiedyś przedemną w postaci mściwéj kobiéty, oh! byłbym prosił Boga, żeby ją był raczéj powołał do siebie w niewinności dziewiczéj." Tak mówił czcigodny starzec i łzy spłynęły mu po zwiędłych policzkach.

— „Kochany wuju, nie osłabiaj łzami swemi postanowienia mego, bo teraz potrzebuję właśnie całéj siły duszy mojéj; mąż mój jest przyczyną téj zmiany; wziął mię niewinną pełną zaufania i miłości, a zrobił ze mnie to, czem teraz jestem; — ale zemsta moja dosięgnąć go musi."

W czternaście dni po téj scenie wyjechali państwo Beresford do Niagary, a wkrótce po ich wyjeździe doniosły dzienniki „o wczesnéj śmierci młodéj i pięknéj pani Beresford." Pewnego dnia wstała jak zwykle zrana i wyszła z domu bez towarzystwa. Gdy nadeszła pora śniadania, a Edyta nie powracała, wyszedł Beresford za nią; znalazłszy na brzegu obok wodospadu Niagary jéj szal, jednę rękawiczkę i chustkę od nosa z jéj nazwiskiem nie wątpił, że nie-

szczęśliwa zbliżyła się nierównie za nadto blisko do brzegu i spadła w przepaść.

Niebawem potém powrócił Beresford do Anglii, a każdy komu znane było jego postępowanie z Edytą za życia, dziwił się jego żalowi po jéj śmierci; zdaje się, że wyrzuty sumienia pomnażały smutek jego.

(Dokończenie nastąpi.)

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Kasper.

O miłości ma dziewczyno,
Nie wspominaj mi tu wcale,
Jéj rozkosze prędko miną,
Wiecznie trwają po niéj żale.
Czy nie widzisz zbladłe lice
I wypłakane źrenice
Twego stryja, mego brata,
Którego miłość szalona
Pochwyciwszy w swe ramiona
Przemieniła na waryata.
Z jego posępnego kroku
I z obłąkanego wzroku,
Z jego głosu jak z mogiły
I z jego szalonéj miny,
Widne są tylko ruiny
Dawnéj dzielności i siły;
Ona-to, ona zniszczyła
W nim pomysłu zdrowe zdania
A natomiast zostawiła
Okropny stan pomieszania!
Te są jéj skutki na świecie.

Dorota.

Lecz nie zawsze — wspomnij przecie
Przed miesiącem, owéj nocy
Kiedy burza w całéj mocy
Tak okropnie się zerwała
Jakby morze zniszczyć chciała,
I wody morskiéj bałwany
Gnała pośród szumu piany,
Wyżéj niż téj wieży szczyty;
A my ztąd przy słońca wschodzie
Spostrzegłszy okręt rozbity
Słyszeliśmy odgłos w dali
Tych, co o pomoc wołali
By im słać ratunku łodzie;
I chwyciwszy wiosła w dłonie
Mimo wiatru, mimo burzy
Spieszyliśmy ku obronie,
Zanim okręt się zanurzy;
Jak mimo wzburzone wały
Nam — szczęśliwie się udało
Uratować wszystkich cało,
I przywieść tu na ląd stały,
Jak bezpieczni od wód fali
Małżonkowie się ściskali,
Jak w objęciu czułéj matki
Cisnęli się drobne dziatki;
Nikt nie mówił, — wśród milczenia
Płynęły łzy uniesienia.
Wtenczas-to jasnom pojęła
Iż to są miłości dzieła; —
Czy pamiętasz ojcze drogi,
Jak dziewica pomieszana
Tuliła się do młodziana?
Gdyż dopiéro w chwili trwogi
Poprzysięgli sobie wiecznie
Kochać się wzajem serdecznie.
Jak na ten związek rodzice
Wprzódy zezwolić niechcieli,
Aż gdy śmierć zajźrzała w lice
W postaci morskich topieli,

Aż dopiéro w owéj chwili
Dzieciom pobłogosławili,
Wylewając łzy radości;
To wszystko dziełem miłości,
Jéj za to należy wieniec.
Pomnisz, jak pan okrętowy
Niósł ci za ratunek dzięki,
Jak się cisnął do twéj ręki,
Jak inny piękny młodzieniec..... —

Kasper.

Czemuż ustajesz wśród mowy,
Chcesz mówić córko kochana:
„Padł przedemną na kolana
„Gdy ja w zachwycéniu stała; —
Czyś i tam miłość widziała?

Dorota.

O nie pytaj ojcze daléj,
Jego jak dwie gwiazdki oczy
Rzucały wzrok tak uroczy,
Jak połysk świécącéj stali.
Wtenczas miałam przedsięwzięcie
Rzucić się w jego objęcie.

Kasper.

Dziewczę, strzeż się ty dla Boga,
Aby w tobie burza sroga
Namiętności nie zawyła,
I szczęścia nie pozbawiła.

Dorota.

Wszak kiedy pan okrętowy,
Złotem, które mu zostało,
Chciał iść z tobą do połowy,
Młodzieniec rzekł do mnie śmiało:
„Sam jeden na świecie żyję
„Złota nie mam dać ci w darze,
„Lecz to serce co tak bije,
„Wiecznie ci niosę w ofiarze.

Kasper.

I ty wierzysz jego słowu?
Światowemu, w swym obłędzie,
Który w inném miejscu znowu
Inną miłość kłamać będzie;
Ciebie on nie kocha szczérze
I zapomniał już w téj mierze.

Dorota.

Nie mój ojcze, on jest blisko,
On nie chowa się w ukryciu.

Kasper.

Ten młodzieniec?

Dorota.

Po rozbiciu
Na wsi obrał swe siedlisko,
Złożony ciężką chorobą.

Kasper.

Częstoż widywał się z tobą?

Dorota.

Gdy wieczorem nad brzegami
Ze stryjem siedzim we dwoje,
Stryj zajęty fantazyami
Podaje mi harfę swoję
Aby mego głosu pienia
Osładzały mu cierpienia;
Wtenczas ten młodzian przybywa
I skarży się nad swym losem,
A łącząc głos swój z mym głosem,
Razem zemną dumki spiewa.

Kasper.

I od niego nie ucieka,
Brat mój — jako od człowieka?

Dorota.

Nie mój ojcze, lecz z początku
Długo patrzał w jego lice
Jak gdyby z pamięci wątku
Pragnął wysnuć tajemnicę,
Co ma styczność z jego losem;
A potém rzekł smutnym głosem:
„Wszak już wiosna uleciała
„Za morza do innéj ziemi,
„Śpiewaków z sobą zabrała,
„Czemu nie spieszysz za niemi?

Kasper.

Będąc z tym młodzieńcem blisko
Wiesz-że ty jego nazwisko?

Dorota.

Nie ojcze, bo ile razy
Zwracał do mnie swe wyrazy
Zaraz Ulrych ręką kiwał
I jego mowę przerywał.

Kasper.

Mnie on pewnie nie zaślepi
Przeto gdy go poznam lepiéj
Zaraz go z tych stron oddalę.

Dorota. *(prosząc).*

Ojcze!

Kasper.

Zaufaj mi stale
Z naszym losem córko droga
Obeznanaś należycie,
Niechaj on ci jak przestroga
Służy na twe całe życie;
A jeźli w życia podróży
Twoje szczęście się zachmurzy
Wówczas zaufaj méj dłoni,
A ona cię wyrwie z toni.

Dorota.

O mój ojcze drogi, miły.

Kasper.

Bądź me dziecko mocnéj siły.
Ale patrzaj! nocne cienie
Pokryły morskie przestrzenie,
A burza szumiąca w dali
Zbliża się na wozie fali
I budzi snu strach ponury —;
Pójdź i odwiąż wszystkie sznury,
Potrzeba zdjąć z lamp nakrycia
Aby okrętom wśród burzy
Które są bliskie rozbicia,
Oświecić drogę w podróży. *(odchodzi).*

(Dorota odwiązuje sznur od ściany, który u powały wisi).

Scena 2.

Dorota *(stoi zamyślona potém bierze arfę i deklamuje następne słowa uderzając w struny).*

Swém jasném okiem świeci strażnica
Jak gwiazda w śród ciemnéj nocy.
Żeglarzu, strzeż się, bo nawałnica
Zrywa się w całéj swéj mocy.
Strzeż się żeglarzu rozbić o skały,
Tu dom bezpieczny choć mały.
Na morze życia patrzy tęsknota
Wypłakanémi oczyma,
Pochodnia zgasła — w koło ciemnota,
Okrętu niéma i niéma.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRAWDA.

Powieść indyjska.

Chodził raz Fakir z myślami po polach i nagle uczuł odtęt pod nogami, więc mówi do siebie: tu jakieś miejsce wydęte, pewnie-to skarb ukryty; muszę go odgrzebać a będę człek znamienity.

Grzebie tedy Fakir, pracuje, i dogrzebał się sklepienia; więc daléj łamać, kruszyć, i włamuje się, lecz na strapienie swoje nie do lochu skarbów ukrytych ale do studni, która może od wieków stała zamurowana.

Smutny patrzy w głąb; dziwo! jakaś kobiéta naga występuje — wynędzniała, przemokła, drzała z przeziębienia. Ale iż była cudnéj piękności, przypatrywał jéj się Fakir z zachwyceniem i zapomniał nawet osłonić ją płaszczem.

„O ty co pięknością przewyższasz córy Braminów, mówi do niéj, powiedz kto jesteś, i zkąd ci przyszło w studni się kąpać?“ A ona odpowiada: „Ja jestem **Prawda**!“ Zbladł na to słowo Fakir jak chusta, i nie czekając co daléj, umknął co żywo, jak gdyby Fakir z Prawdą przebywać nie mogli.

Opuszczona panienka puściła się samotnie w imię boże ku miastu. W Indyach gdzie ciepło i inny jak u nas obyczaj, nic nie jest dziwnego że tam ktoś nagi gościńcem idzie. Przechodzili i mijali Prawdę poeci, kupcy, sułtanki, rzezańce zupełnie obojętni. Poeci widząc ją mówili: „jakże nędzna“ kupcy: „jakaż głupia“ sułtanki: „jakże nieprzyzwoita“ rzezańce: „co za smutna;“ a zresztą nikt się o nią nie troszczył.

Przechodzi także i jakiś wyuzdany a bogaty dworak, i Prawda wpadła mu w oko bo jeszcze nigdy jéj nie kosztował i ani tak białéj płci nie widział, więc ją wprasza do lektyki.

Ledwo Prawda usiadła w lektykę, przejeżdża tamtędy ulubienica sułtańska, która z rady lekarskiéj używała przejazdki. „A to rzecz zabawna, woła Prawda, wszak fawerytce sułtańskiéj nos się przekrzywił.“

Gdy to dworak usłyszał, zadrżał ze strachu, bo zakazano było na dworze surowo o nosie faworytki ani myśléć, cóż dopiero mówić! Wytrąca więc Prawdę śród drogi, i mówi: „co za nierozsądek wdawać mi się z plotkarką.“

Wchodzi Prawda przez rogatki do miasta, a niepewna gdzie stanąć, zapytuje kogoś z biedniejszych po drodze gdzieby się dało zanocować? Biedak zaprasza ją do siebie, wróżąc sobie nie mało szczęścia z takiego spotkania.

A gospodarz, u którego Prawda przytułek znalazła, był-to wydawca gazety, w któréj mieszkańce kolejno co dzień wyczytywali swoje pochwały. Zato słudzy po dworach mieli rozkaz, żeby mu jak się tylko pokaże, zaraz opychać kieszenie okruchami ze stołów pańskich.

Było jak bywało, ale od czasu jak Prawdę przyjął, wszystko poszło na opak; codzienną kartę nie było czém zapełnić, a tu świat czekał. Pracował i pisał; Prawda zaglądnęła, i co on napisał, wszystko zmazała. Już dwa dni buletynu nie było. Na to rozgniewał się Wezyr, przywołał pisarza i kazał mu odliczyć naprzód pięćdziesiąt plag, a potém pozwolił mu się usprawiedliwiać. Obronił się ślicznie i bardzo wymownie; więc też Wezyr kazał mu dodać jeszcze sto kijów i puścić do domu.

Dziwić się temu będą ci co składu rzeczy nie wiedzą. Wezyr zabawiał pisarza kijami, ażeby uzyskać czasu i uwieść mu tymczasem Prawdę; byłoby się obeszło dziewięćdziesiat dziewięcią, ale snadź czas byłby za krótki na wykradzenie.

Gdy tedy Wezyr sam został w posiadaniu Prawdy, postanowił użyć ją przeciw nieprzyjaciołom i zawistnikom swoim; w tém znać mu dają, że Sułtan zapowiedział się na dziś w odwiedziny do niego; zatém Wezyr w obawie ażeby Sułtańska Mość nie dopatrzyła w jego domu Prawdy, skazał ją ze względu dobra publicznego na śmierć.

Więc zaraz czterech układnych Emirów, obwinęli Prawdę w jedwabie między pachniące poduszki i udusili ostrożnie, a martwe ciało wyrzucili potém w najosobniejszy zakątek w ogrodzie.

Nierozsądni, myśleli że Prawda umarła dlatego że ją zdusili; jako żywo! ledwo się na wolném powietrzu poczuła, zaraz tchnienie wróciło, a pod wieczór ażeby ją we dworze nie widziano, wyszła z ogrodu.

Uszła szczęśliwie do gmachu jakiejś biblioteki, gdzie Bramini już od pięciu tysięcy lat zgartywali mądrości ludzkie. Ale że noc była zimna, więc chcąc się ogrzać zapaliła kilka zwitków porozrzucanych; trzeba ażeby się płomień zajął i ogarnął całą bibliotekę, i to tak szybko, że ledwo kilka urywków Prawda mogła wyratować.

Zgorzała biblioteka i bibliotekarze z nią razem. Sułtana bawił pożar i powiedział z uśmiechem: „Przecież-to miło patrzéć że się biblioteka pali.“ Ale bo-to w Indyach biblioteka a Sułtan rzadko się widują i mało znają.

Lecz zawsze zgrozę taką należało przykładnie ukarać; zatém Wezyr równo ze świtem obwołuje publicznie że Prawda z tego a tego powodu zostaje wyjętą z pod prawa.

O wschodzie słońca była już Prawda za miastem, gdzie stał jakiś ładny domek z ogródkiem, a mieszkał w nim Sędzia Pilpay. Śmiało przystępuje do niego, powiada kim jest, i prosi o przytułek.

„Twoja szczerość podoba mi się“ odpowiada Sędzia, „ale w obawie jestem o ciebie, zginęłaś jak cię poznają; ale chodź za mną.“ I wyszli oboje na piaterko gdzie była galerya.

Tu stały w porządku poustawiane: skóry z różnych zwierząt, okory z rozmaitych drzew i wypróchy ze wszystkich stworzeń. I kto nie wiedział, byłby zaraz na oko odgadł że to magazyn bajko-poety. Pilpay pokazał to wszystko Prawdzie, i mówi do niéj:

„Słuchaj: nie umiesz milczéć ani się taić, mądrze więc zrobisz, jeźli się przebierzesz. Ja mam moc przetworzyć cię w okamgnieniu w którębądź z tych istot — wybieraj!“

Prawda przyjęła oświadczenie, i nie była niewdzięczną, owszem rozniecіła geniusz swego oswobodziciela i przyczyniła się do rozpostarcia światła na całe Hindostany. Wkrótce upadł Wezyr, a na jego miejsce powołano Pilpaya, który też w dostojeństwie swojém długich lat dożył, a ludy mu błogosławili, bo w Azyi ci tylko mają balsam długiego życia, co w szczerości serca dobrze czynią.

Otóż przykład tak wielkiego szczęścia wywołał licznych naśladowców, i ambitnym zachciało się dobijać z mędrcami o bajki i o spuściznę Pilpaya, ale Prawda przejźrzawszy ich zamiary utaiła się w dzieła mędrców, a ambitnych poruczyła marom imaginacyi.

Opera Włoska w Paryżu podupadła, świadectwem jakie ją zgromadzenie teraz odwiedza. Przedtem wzorem przyzwoitości, wdzięku, grzeczności, dziś — piszą ze zgrozą — między aktami mężczyźni po balkonach w kapeluszach siedzą.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*